



# Gdzie się zaczął nowy rok?

Pytanie takie wydaje się dość dziwne. Napewno większość czytelników odpowiedziałaby: „Jako, gdzie? Wszędzie na całej kuli ziemskiej, z poniedziałku na wtorek, jak tylko skończył się 31 grudnia 1945 roku i wybiła godzina dwunasta północy, to zaczął się rok nowy“.

Zupełna racja. Gdy wybiła dwunasta godzina północy, to zaczął się wtorek 1 stycznia 1946 roku, czyli zaczął się Nowy Rok...

Tylko z tą godziną dwunastą, — to dzieją się ciekawe rzeczy. Wiemy wszak, że godzina dwunasta południa, czyli tak zwane „południe“ nie wszędzie na kuli ziemskiej jest o jednej porze. Wiemy, że wtedy, gdy u nas w Polsce jest południe, to na przeciwnej stronie kuli ziemskiej, choćby w niektórych punktach Ameryki, jest właśnie północ. Ludzie tam śpią, gdy my pracujemy.

Tak samo jest i z godziną dwunastą północy, czyli z początkiem nowego roku. Gdy w Warszawie bije północ, to np. w Londynie, który leży na zachód od Warszawy, jeszcze nie wybiła jedenasta wieczór. Natomiast w Moskwie, położonej na wschód od Warszawy, już jest po pierwszej w nocy. Czyli, że w Londynie i dalej na zachód jeszcze panuje stary rok 1945-y w tym momencie, gdy u nas rozpoczęto rok nowy. W Moskwie zaś i dalej na wschód od Polski władza już rok nowy 1946-y od wielu godzin.

Gdybyśmy potrafili podróżować z szybkością fali świetlnej (300.000 kilometrów na sekundę), to po małym ułamku sekundy dotarlibyśmy do mroźnej Syberii. W Jakucku, nowy rok miałby już 7 godzin wieku. Jeszcze dalej na wschód, np. w Wellingtonie, stołecznym mieście Nowej Zelandii, rok nowy zaczął się już prawie 11 godzin temu.

Odbyliśmy „małą“ podróż na wschód od Warszawy, a teraz z tą samą szybkością pofruńmy na zachód. W Londynie, jakśmy już mówili, jeszcze rok stary 1945, godzina prawie jedenasta wieczorem; w gorącej Hiszpanii, w Madrycie, wciąż stary rok, godzina jeszcze wcześniejsza, około 10-ej wieczorem... Dalej! Przez Atlantyk! Dobjamy do Ameryki, do Stanów Zjednoczonych. Polacy, których jest w Ameryce Północnej parę milionów, dopiero szykują się do uroczystego powitania nowego roku. W Nowym Jorku jest jeszcze poniedziałek,

31 grudnia 1945 r., godzina szósta wieczorem. A w Honolulu, stolicy wysp Sandwich, leżących prawie pod 158 stopniem zachodniej długości, jest dopiero godzina pierwsza popołudniu 31 grudnia 1945 r.

Co za przedziwna podróż! Wyjechaliśmy z Warszawy zaraz po dwunastej, we wtorek 1 stycznia 1946 roku, a przyfrunęliśmy do krain, gdzie panuje poniedziałek i rok stary. Fantastyczna jazda z szybkością fali świetlnej, pozwoliła nam na podróż z „dzisiaj“ do „wczoraj“. Czas jakby wstecz się cofnął, ubył nam jeden dzień przy podróży na zachód. Streśmy wyniki naszej przedziwnej wędrówki.

Na zachód od Polski, poczynając od Londynu (mniej więcej) panuje jeszcze stary rok, i ostatni dzień poniedziałkowy miesiąca grudnia w tym momencie, gdy w Warszawie rozpoczął się wtorek, 1 stycznia 1946 r. Im dalej na wschód od Warszawy — wtorek nowego 1946 roku trwa już od kilku, a nawet kilkunastu godzin.

Z tego krótkiego rozumowania jasno widać, że musi być gdzieś na kuli ziemskiej graniczna linia lat, gdzie po jednej stronie istnieje stale data i dzień wcześniejszy, po drugiej zaś data i dzień późniejszy.

Domyślamy się również, iż w pewien określony sposób muszą liczyć swe dni i daty okręty, przepływające tę linię w kierunku wschodnim i zachodnim.

Tak jest w rzeczywistości. Umówiono się już kilkadziesiąt lat temu, że „linią zmiany dat“ będzie południk 180-ty, który jest przedłużeniem południka zerowego, przechodzącego przez Greenwich (Grynicz).

Dla statków wodnych czy powietrznych, przepływających w poprzek Oceanu Spokojny, linią zmiany dat jest zawsze linia 180-go południka.

Dla wielkich lądów Azji i Ameryki oraz dla tysiącznych wysp i wysepek, rozsianych po Pacyfiku, linia zmiany dat nie wszędzie zgadza się z linią południka.

Linia ta idzie przez cieśninę Berynga, wygina się na wschód, rozgraniczając lądy Azji i Ameryki, oraz omijając wyspy Aleuckie, potem od 45 stopnia szerokości północnej biegnie wzdłuż 180-go południka, aż prawie do 15 stopnia tejże szerokości. W tym miejscu ze względów praktycznych, żeby skupień ludzkich, ekonomicznie i geograficznie związanych z lądem Australii, nie odcinać od dat tego lądu, linia zmiany dat odchyła się na zachód o 12 stopni geograficznych.

Cóż więc czynią statki, przecinające 180-y południk, żeby uniknąć błędów dat i dni w swoim dzienniku okrętowym i dostosować się do daty i dnia, panującego w danej miejscowości?

Gdy statek przecina 180-y południk, płynąc z zachodu na wschód, zapisuje się w dzienniku okrętowym ten sam dzień i datę dwa razy. Gdy zaś okręt przecina południk ze wschodu na zachód, to opuszcza się w dzienniku okrętowym jeden dzień i jedną datę, zapisując po wtorku np. nie środę, a czwartek od razu.

Na niezmiernych przestworzach wodnych Oceanu Spokojnego rodzą się dni i lata nowe... Stąd prędko, prędko, z szybkością piętnastu stopni na godzinę „bieży“ nowy rok 1946 ze wschodu na zachód. Po jedenastu prawie godzinach dobiega do Polski i Warszawy.

Jak to dobrze, że ta linia zmiany dat biegnie przez niezmierną pustkę oceanu. Coby to było, gdyby taka linia przebiegała przez południk warszawski. Ponieważ południk jest linią idealną, musiałaby istnieć w Warszawie jakaś rzeczywista linia graniczna. Przypuśćmy, że byłaby to linia Wisły.

W Warszawie byłby jeszcze poniedziałek, rok stary, na Pradze, która leży na wschód od Wisły, byłby już rok nowy. Na Pradze święto, w Warszawie dzień powszedni. A co to byłoby zamętu z lekcjami, początkiem roku szkolnego... Z dniami świątecznymi. Jaki raj dla pomyłek łazików i leniuchów?

Już przeczuwam, ilu to czytelników i czytelniczek chciałoby odbyć podróż naokoło świata, przeciąć na polskim statku 180-ty południk, zgubić jeden dzień, lub przeżyć taki tydzień, w którym będą aż dwie niedziele (czy to możliwe?).

Wacław Szczyński



ADAM ASNYK

## SŁONKO

*Wędrowało sobie słonko,  
Uśmiechnięte, jasne, złote;  
Szło nad gajem, szło nad łąką,  
Napotkało w łzach sierotę.*

*Ten się żał: „Tak wesolo  
Świecisz światu, słonko moje,  
Uśmiechamni sypiesz w koło,  
Gdy ja smutny we łzach stoję;*

*Obojętnie potrząsz na to,  
Jak się ludzkie serca męczą...  
I nad każdą ludzką stratą  
Promienistą błyskasz łezą“.*

*Słonko na to: „Biedne dziecię!  
I miwie smutno na niebiosach,  
Gdy o waszym myśle świecie  
I o ludzi ciężkich losach.*

*Lecz nie mogę ustać w drodze,  
By nad każdą boleć raną,  
Więc w złocistym blasku chodzę,  
Wypędniając, co kazano.*

*Nie pomogą próżne żale...  
Ból swój niebu trza polecieć,  
A samemu wciąż wytrwale  
Trzeba naprzód iść... i świecić“.*

HENRYK SIENKIEWICZ

# HURAGAN NA PUSTYNI

„Huragan na pustyni” jest urywkiem z powieści Henryka Sienkiewicza — „W pustyni i w puszczy” Staś Tarkowski syn inżyniera pracującego w Towarzystwie Kanału Sueskiego w Part Saidzie i mała, dwunastoletnia Nelly Rollison zostali porwani podczas wycieczki do piramid przez przewodników wielbłądów. Idris i Gebhr, o których mowa jest w przytoczonym urywku, to właśnie ci przewodnicy, którzy porwali dwunastoletnią Angielkę — Nelly i czternastoletniego — Stasia, aby wydać dzieci w ręce powstańców arabskich, zwanych od nazwiska przywódcy Mahdęgo — „mahdistami”. W drodze do Hartumu cała karawana zostaje zaskoczona przez huragan na pustyni.

...W oddali pojawiła się jakby ciemna chmura, która uczyniła się w oczach coraz wyższą i zbliżała się do karawany. Poruszyły się też naokół najbliższe fale powietrza i nagle podmuchy poczęły skręcać piasek. Tu i owdzie tworzyły się lejki, jakby ktoś wiercił kijem powierzchnię pustyni. Miejscami wstawały chybkie wiry, podobne do kolumnienek, cienkich u spodu, a rozwianych, jak pioropusze w górze. Ale wszystko to trwało przez jedno mgnienie oka. Chmura, którą pierwszy ujrzał przewodnik wielbłądów, nadleciała z niepojętą szybkością. W ludzi i zwierzęta uderzyło jakby skrzydło olbrzymiego ptaka. W jednej chwili oczy i usta jeźdźców napełniły się kurzawą. Tumany pyłu zakryły niebo, zakryły słońce i na świecie uczynił się mrok. Ludzie poczęli tracić się z oczu, a najbliższe nawet wielbłądy majaczyły, jak we mgle. Nie szum — bo na pustyni nie ma drzew — ale huk wichru głużył nawoływania przewodnika i ryk zwierząt. W powietrzu czuć było taką woń, jaką wydaje czad węgli. Wielbłądy stanęły i odwróciwszy się od wiatru, powyciągały długie szyje w dół, tak, że nozdrza ich dotykały prawie piasku.

Sudańczycy nie chcieli jednak pozwolić na postój, gdyż karawany, które się wstrzymują w czasie huraganu, bywają często zasypywane. Najlepiej wtedy jest pędzić razem z wichrem, ale Idris i Gebhr nie mogli i tego uczynić, albowiem w ten sposób wracaliby do Fajumu, skąd spodziewali się pogoni. Więc gdy pierwsze uderzenie przeszło, pognali znów wielbłądy.

Nastała chwilowa cisza, lecz rudym mrok rozpraszał się bardzo powoli, albowiem słońce nie mogło przebić się przez tumany, zawieszane w powietrzu. Grubsze i cięższe drobinki piasku poczęły jednak opadać. Napełniły one wszystkie szpary i załamania w siodłach i zatrzymywały się w fałdach ożdzieży. Ludzie i zwierzęta za każdym oddechem wciągały pył, który drażnił ich płuca i skrzypiał w zębach.

Przy tym wichur mógł się zerwać na nowo i przesłonić całkiem świat. Stasiowi przyszło na myśl, że gdyby w chwili takich ciemności znalazł się na jednym wielbłądzie z Nel, to mógłby go zawrócić i uciekać z wiatrem na północ. Kto wie, czyby dostrzeżono ich

*Przez nieprzebytą dżunglę przedzierać się z trudem,  
Torować drogę słabej, bezbronnej dziewczynce,  
I zwyciężać, i walczyć z czarnym, groźnym ludem,  
Mieć strzelbę, nóż myśliwski i naboje w skrzynce...*

*To by doptero była zabawa i radość!  
Marzy się podróż — ziemia daleka i obca...  
...Po kolorowym stepie karawany jadą,  
Dziełny kapitan szuka dziewczynki i chłopca —*

*Dobry Kali i smętna, długonoga Mea,  
Ogromny stoł — przyjaciel, nie robi nic złego —  
Zwątpienia i radości — rozpacz i nadzieja,  
I zielone banany na górze Lindego...*

*Lew, jaguar, straszny „wobo”, hienny, lamparty,  
I wierny Saba — groźny i wspomiaty brytan...  
Długa podróż się kończy — i ostatniej karby  
Najgorętsze wzruszenie nie pozwala czytać...*

*Koniec. Właśnie tak piękny, jak tylko być może —  
I co dalej? — Czyż w życiu przygoda się mieści?  
Czy może być tak pięknie, czy musi być gorzej?  
Czy Staś i śliczna Nelly są tylko w powieści?*

*Chyba nie — dziełnym zawsze wystarczy przygody,  
Przez młodość, jak przez dżunglę trzeba się przedzierać —  
W każdym domu, na każdej ulicy jest młody  
Chłopiec, z którego można zrobić bohatera.*

Maria Majewska

wśród mroku i zamętu żywiołów. a jeśliby zdołali dotrzeć do pierwszego lepszej wioski nad Bahr - Jussef przy Nilu, byłiby ocaleni — Idris i Gebhr nie ośmieliliby się nawet ich ścigać, albowiem wpadłby natychmiast w ręce miejscowych „zabójców”.

Staś, zważywszy to wszystko, trącił w ramię Idrysa i rzekł:

— Daj mi gurdę z wodą.

Idrys nie odmówił gdyż, jakkolwiek rano skręcili znacznie w głąb pustyni i byli dość daleko od rzeki, mieli wody dość, a wielbłądy

napily się obficie w czasie nocnego postoju. Prócz tego, jako człowiek obeznany z pustynią, wiedział, że po huraganie przychodzi zwykle deszcz i wyschnięte „khorry” zmienia chwilowo na strumienie.

Stasiowi się chciało rzeczywiście pić, więc pociągnął dobrze wody, po czym, nie oddając gurdy, trącił znowu w ramię Idrysa:

— Zatrzymaj karawanę.

— Dlaczego? — zapytał Sudańczyk.

— Dlatego, że chcę przesiąść się

na wielbłąda małej „bint” i dać jej wody.

— Dinah ma większą gurdę od mojej.

— Ale jest łakoma i pewnie ją wypija. Musiało się też nasypać dużo piasku do siodła, które uczyniście podobnym do kosza. Dinah nie da sobie z tym rady.

— Wiatr zerwie się za chwilę i znów wszystko zasypie.

— Tym bardziej mała „bint” będzie potrzebowała pomocy.

Idrys uderzył batem wielbłąda — i przez chwilę jechali w milczeniu.

— Czemu nie odpowiadasz? — zapytał Staś.

— Bo się namyślam, czy lepiej przywiązać cię do siodła, czy związać ci ręce z tyłu.

— Oszalałeś!

— Nie. Ale odgadłem, co chciał uczynić.

— Pogoń i tak nas doścignie, więc nie potrzebuję tego czynić.

— Pustynia jest w ręku Boga.

Umilkli znowu. Grubszy piasek opadł zupełnie; pozostał w powietrzu tylko subtelny, czerwony pył, coś w rodzaju sreżogi, przez którą słońce przeświecało, jak miedziana blacha. Ale widać już było dalej. Przed karawaną ciągnęła się teraz równina, na której krańcu bystre oczy Arabów dostrzegły znów chmurę. Była ona wyższa od poprzedniej, a prócz tego wystrzelały z niej jakby słupy, jakby olbrzymie, rozszerzone u góry kominy. Na ten widok zadrżały serca Arabów i Beduinów, albowiem rozpoznali wielkie wiry piaszczyste. Idris podniósł ręce i zbliżywszy dłonie do uszu, począł bić pokłony nadlatującemu wichrowi. Jego wiara w jedyne Boga nie przeszkadzała mu widocznie czcić i bać się innych, albowiem Staś usłyszał wyraźnie, jak mówił:

— Panie! my twoje dzieci, a więc nie pożresz nas!

A „pan” właśnie nadleciał i targnął wielbładami z siłą tak straszliwą, że omal nie poupadały na ziemię. Zwierzęta zbiły się teraz w ciasną gromadę, z głowami zwróconymi w środek ku sobie. Poruszyły się całe masy piasku. Karawanę ogarnął mrok, głębszy, niż poprzednio, a w tym mroku przelatywały obok jeźdźców jakieś jeszcze ciemniejsze, niewyraźne przedmioty, jakieś olbrzymie ptaki, lub rozpędzone wraz z huraganem wielbłądy. Lęk ogarnął Arabów, którym zdawało się, że to są duchy zaginionych pod piaskami zwierząt i ludzi. Wśród hukku i wycia wichru słychać było dziwne głosy, podobne to do szlochania, to do śmiechu, to do wołania o pomoc. Lecz to były złudy. Karawanie groziło stokroć straszniejsze, rzeczywiste niebezpieczeństwo. Sudańczycy wiedzieli dobrze, że jeśli który z wielkich wirów, tworzących się ustawicznie w tonie huraganu, pochwyty ich w swe skręty, to postrąca jeźdźców i porozprasza wielbłądy, a jeśli zlamie się i zwali na nich, wówczas w mgnieniu oka usypie nad nimi olbrzymie piaszczyste mogiły, w której będą czekali, póki następny huragan nie odwieje ich kościotrupów...

## WIERVSZE

*Czasami w święto o zmierzchu,  
Lub gdy jest czas po obiedzie  
Siadają wszyscy razem  
Na miękkim puszystym pledzie.*

*Tulą się do mamusi  
I Janek prosi pierwszy:  
Mamusiu, mów nam wiersze,  
Ty umiesz tyle wierszy.*

*Więc mama mówi wiersze  
Głos ma głęboki i słodki,  
Melodią wiążą się słowa  
Plotą żywiczne zwrotki.*

*W wierszach Lenartowicza*

*Pogoda lenwa się złoci,*

*Wiersz Konopnickiej mówi*

*O kraywadzie i dobroci.*

*Słowacki świat czaruje,*

*Mgied mu i tęcz użyjeza.*

*Spiż prawdy dzwoni domośnie*

*Z jedyntych słów Mickiewicza*

*Na giętkich biegunach rytmu*

*Kołysze się myśl i dusza*

*I trafia do dusz dzbiecących*

*Rozpromienia i wzrusza.*

*Podchodzi łąz do gardła,*

*Przebiega ciało dreszczem*

*I dzieci proszą jeszcze,*

*A mama mówi jeszcze;*

*Aż wreszcie mała Terenia*

*Słowami ukochypana*

*Zasypia z buzią wbieloną  
W miękkie mamine kolana.*

Hanna Mortkowicz-Olczakowa



BENEDYKT HERTZ

# POD TĘCZOWYM MOSTEM

## LEGENDA

Kiedy byłem jeszcze małym fąblem i nie wiedziałem nawet, ile jest 4 razy 7, wciąż zasypywałem starszych najrozmaitszymi pytaniami: a co to?... a dlaczego?... a po co?... Przeważnie zbywano mnie byle jaką odpowiedzią, albo mówiono: nie nudź; urośniesz, to się dowiesz. Bardzo mnie to gniewało. Bo ja rosłem powoli, a rozmaite ciekawe pytania wciąż przybywały i przybywały bardzo prędko. Wskutek tego wiele rzeczy rozwiązywałem własnym rozumem. A że to był jeszcze bardzo ma-



łyśki rozumek, więc niektóre moje wiadomości niezupełnie były ściśle. Oto np. byłem przekonany, że Ameryka jest w Warszawie na ulicy Nowy Świat. Bo nieraz słyszałem, jak dorośli nazywali Amerykę nowym światem. Kiedy mówiono o górach: Alpach, czy Karpatach — wyobrażałem sobie, że wyglądają one, jak ta góra, na której wieszano bielinę (strasznie lubiłem tam się za mamą tarabanić). Kiedyś przyjechała do nas jedna Francuzka, ogromnie się dziwiłem, że ma język zupełnie taki sam, jak ja: miękki, czerwony... Wszyscy mówili, że Francuzi mówią zupełnie innym językiem, więc myślałem, że powinna mieć jakiś język granatowy, albo w kropeczki... Jednym słowem ciągle spotykały mnie niespodzianki, bo wszystko było inaczej, niż mnie się zdawało, że być powinno.

Ale najtrudniej sowa była z tęczą. Wszystkich o nią pytałem: i mamę, i ojca, i kucharkę... Ojciec opowiadał coś długiego, nudnego i nic zrozumieć nie mogłem. Mówił o jakimś łamaniu światła... Przecież — myślę sobie — światło to nie witka, żeby je można było utłamać... Mama mówiła o siedmiu kolorach. A ja nigdy nie mogłem się ich dorachować. Czasem było pięć, czasem trzy... rozmaicie. Gdy wreszcie zapytałem kucharkę, długo myślała, a wreszcie powiada: „Tęcza to tęcza“. Tyle to i ja wiedziałem. Wcale nie myślałem, że tęcza to rondel albo fortepian... Długo, długo ta tęcza spokoju mi nie dawała.

Aż raz jednego, latem pojechałem do wuja w Opoczyńskie. Poznałem tam pewną niejaką Wawrzusiową. Była zawsze strasznie potargana, myślała się skrupulatnie tylko około Wielkiej Nocy i żyła z dobrowolnych ofiar mieszkańców i kilku wiosek, któ-

re stale odwiedzała, jako zapalona miłośniczka pieszych wycieczek krajoznawczych. Ogólnie mówiono, że jest trochę pomyłona — to znaczy wariatka. Ja jednak, po kilku z nią rozmowach, przyszedłem do przekonania, że to nieprawda: gawędziła bardzo rozsądnie i na żadne moje odpowiedzi nie żałowała. To też bardzo byłem rad każdym jej odwiedzinom. Szedłem za nią w jakieś ustronne miejsce i słuchałem z zachwytem jej pięknych opowiadań.

— Wawrzusiowo — zagadnąłem pewnego razu — powiedzcie mi, co to jest tęcza? Odgarnęła brudną chustkę na tył głowy i gruby, zakrzywiony palec przytknęła do pomarszczonej twarzy.

— Tęcza... ano — mówi — wiadomo. To jest most. Droga do nieba.

O — pomyślałem — to rozumiem, to przynajmniej odpowiedź, która mi się podoba. Most.

— A z czego jest tęcza? — pytam w dalszym ciągu.

— Z kolorowej tasiemki — rzecze Wawrzusiowa.

— E, to być nie może! — zawołałem — któżby po takim moście mógł chodzić? Ugiąłby się, przerwał i tylko byłoby nieszczęście.

Dopiero wytłumaczyła mi babina, że to taki most, po którym wcale się nie chodzi, tylko pod nim... Taka niby brama. A kto pod tą bramą przejdzie — to jakby przez most do innego świata przeszedł. Zmieni się nie do poznania. Słaby stanie się mocnym, głupi — mądrym, ubogi — bogatym.

Gdy zacząłem dalej wypytywać: jak, co, kiedy, gdzie, dlaczego?... (no bo — mówię — lubiłem wtedy zadawać niezliczone pytania)... Wawrzusiowa opowiedziała następującą, podobno zupełnie prawdziwą, historię.

We wsi Bielawce, niedaleko Niedojścia, był pastuch sierota, Maciuś; trochę, jak mówiono, głupi, trochę próżniak, ale wesoły, bo go lubiano we wsi, że ładnie na fujarce wygrywał i figurki z drzewa strugał, jak żywe. Przytem chłopak był ładny, a to nigdy nie jest bez znaczenia, bo zawsze ludzie wolą popatrzeć na niebrzydką twarz i nie odnędzą tak zaraz. Mimo wszystko, Maciuś nie był zbyt zadowolony. Nieraz drżał z zimna, nieraz głodował, a niekiedy to i po karku dostał od niedobrych ludzi.

Nie ma przecież takiej wsi, żeby w niej sami tylko dobrzy ludzie mieszkali. Więc i w Bielawce był taki gospodarz — Wiecheć się nazywał, Onufry Wiecheć — który sąsiadom dokuczał, we własnej chacie brewertie wyprawiał, a Maciusiowi nigdy dobrego słowa nie dawał. Chłopak strasznie go się bał i głównie dlatego nieraz myślał, jakby tu odmienić swój los i z głupiego Maciusia, co za cudzymi krowami łązi, stać się raptem generałem, organistą lub inną jaką znakomitą osobą?!

Aż jednego popołudnia, kiedy już zaczynało się ściemniać i pastuszek zganiał swoje stadko, żeby pędzić je do wsi z powrotem, patrzy — a tu idzie polem starowina jakaś zgarbiona, na krzywym kosturze wsparta. Kijaszkiem ziemię przed sobą maca. Jakby nie bardzo widziała, a dycha

ciężko pod wielkim tobołem, który na plecach niosła. Maciusiowi żał się zrobiło babiny. Więc, kiedy się zbliżyła, podszedł do niej i mówi:

— Dajcie ten ciężar, to go wam trochę poniosę i poprowadzę was przez to pole, bo choć tędy bliżej, ale dołów dużo.

— Dzięki ci, mój chłopaczku — odrzekła starucha — widać, dobry jesteś, skoro się nade mną litujesz.

Dała mu tłomok, oparła się mocno na ramieniu i poszli. Jak długo szli, Maciuś zmiarkować nie mógł. Wiadomo tylko, że słońce dawno już za las opadło, kiedy krowy do wsi przypędziły. Oczywiście, musiał się gospodarzom tłumaczyć, bo byli niespokojni o dobytek. Ale kiedy im opowiedział, jak, co, dlaczego — poczciwi wieśniacy pokiwali głowami i przebaczyli. Jeden tylko Wiecheć bardzo pomstował, a nawet kijem Maciusia wygrzmocił.

Splakał się pastuszek i myśli: To to taka nagroda za mój dobry uczynek? O, jakżebym chciał być teraz ważną osobą, żeby móc tego Wiechcia rozumem nauczyć...

Ledwo mu te słowa przez głowę przeleciały, patrzy — a tu staje przed nim ta sama staruszka. W tejże chwili opadły z niej łachmany i babina zmieniła się w piękną królową w złotej koronie na głowie.

— Kto jesteś, jasna pani? — zawołał Maciuś, dłonią osłaniając oczy, taki blask bił od jej białych szat.

— Nie pytaj — odrzekła. — Wiem, że masz sine pręgi na plecach za to, żeś mi współczucie okazał. Przyszłam, ci to wynagrodzić.

— Oj, dobrze, dobrze!... — wyrywało się z piersi pastuszka — takbym chciał los swój odmienić...

— A czymże byś chciał się stać?

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Tyle różnych stanowisk i tytułów zaczęło mu się naraz mieszać w głowie, że nie sposób którykolwiek wybrać... Królem, hetmanem, księdzem, wójtem?...

— Nie wiem... — szepnął w końcu. — Niech już będzie twoja wola, dobra pani.

— Zgoda — mówi ona — skoro zdajesz się na moją łaskę, nic lepszego uczynić nie mogłeś.

To powiedziawszy, wydobyla z fałd szaty spory zwitek i wręczyła Maciusiowi.

— Masz. Weź to. Tylko pamiętaj rozumnie używać.

— A co to takiego?

— Tęcza.

— Tęcza?

— Tak. Nawinięta na szpulę i z jednej strony do niej przymocowana. Skoro ją rzucisz wysoko i taśmę będziesz za wolny koniec trzymał, to szpula polecie na drugi koniec ziemi, taśma rozwinie się cała, przylgnie do nieba i tęczowy most na twój własny użytek powstanie. Ale pamiętaj, że to można robić tylko po deszczu, bo wtedy niebo jest mokre i taśma się przylepi. Do suchego nie przylgnie.

— Będę pamiętał — rzecze chłopak — ale co dalej? Jaką będę miał korzyść z tego robienia tęczy wedle własnej woli?

— Alboż to nie wiesz, że kto przejdzie pod tęczowym mostem, całkiem się odmieni?... Ino pamiętaj — nie więcej, jak siedem razy.

Nauczyła Maciusia, jak ma szpulę po użyciu na nowo zwijać i w jednej chwili znikła tak niespodzianie, jak gaśnie robaczek świętojański. Gdyby nie to, że w rękę chłopca pozostawiła szpulę z szeroką siedmiobarwną wstęgą, myślałby, że całe zjawisko było snem i złudzeniem.

Trochę nie wierzył, czy to aby prawda, że będzie mógł tęczę do nieba przykleić i sam się przemienić, w co zechce... Patrzył na tę szpulę, obracał ją w palcach, nakoniec schował głęboko do kieszeni i z piszczał-



ką polaził dalej za bydełkiem, odganiając je od szkody. Po paru dniach o całym zdarzeniu prawie zapomniał.

Ale przyszła noc hucząca grzmotami, błyskająca piorunami. Deszcz lunął obfity, majowy, ku wielkiej radości gospodarzy.

*Deszcz w świętego Floriana, skrzynia groszem przepchana —*

mówił stary Mateusz do swojej kobiety. A Mateuszowa, że to zawsze ostatnie słowo mieć musi — dodała:

*— Ciepły kwiecień, mokry maj, będzie żyto, kiełby gaj.*

Do rana deszcz ustał, słońce zarumieniło się za pagórkami... Maciuś nagle przypomniał sobie o swoim skarbie. Prędko wyskoczył z komórki, w której Mateuszowa sypiała mu dawała, i szpulę z kieszeni wydobyl. Zamachnął się i jak nie smyrgnie w górę!... Poleciała daleko, daleko, a na niebie od razu wystąpiła piękna siedmiobarwna tęcza.

— Królem chcę być — zawołał Maciuś, przebiegając pod tęczowym mostem.

Zaledwie nawiniął z powrotem tęczę na szpulę — patrzy... Wsi nie ma, chałupy Mateuszowej także nie ma... Jest wielka sala tronowa, marmurowe kolumny ze złotymi głowicami, posadzka błyszcząca, jak zwierciadło, a on sam, Maciuś siedzi na tronie i pięknie ustrojony panowie w pas mu się kłaniają.

Coraz to inny wielkorządca podchodzi i coś raportuje długo o sprawach państwa. Tak mądrze mówią, że aż trudno zrozumieć. Ciężka złota korona uwiera Maciusia w czoło, ale on boi się poprawić ją sobie, bo nie wie, czy można. A tu dalej ci dwgnitarze gadają i gadają. Końca nie ma.

(Dokończenie nastąpi).

**REDAKCJA DZIĘKUJE WSZYSTKIM DZIECIOM ZA PRZYSŁANE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.**

Do wszystkich czytelników „Świata Dzieci“, mieszkających poza Warszawą.

Drogie dzieci!

Otrzymałiśmy cały szereg listów z prowincji z prośbą o przysłanie gwiazdek. Niektóre dzieci przysyłały nam nawet kopiony.

Z przykrością komunikujemy Wam, że gwiazdkę urządziliśmy tylko dla dzieci Warszawy. Chcieliśmy, by każde dziecko w Polsce otrzymało prezent, lecz niestety nie jesteśmy w stanie obdzielić wszystkich. 4.500 dzieci, które były na naszej gwiazdce otrzymało paczkę i więcej paczek już nie mamy.

Ryszard Motylewski — Włochy koło Warszawy.

Twoje opowiadanie p. t. „W noc Sylwestrową“ bardzo nam się podobało. List przyszedł jednak za późno i już nie zdążyliśmy go umieścić. Pisz do nas więcej. Jeśli się będzie nadawało, umieścimy.

Tadeusz Strumff — Warszawa.

Wiersz niezły, szkoda tylko że smutny, jak będzie miejsce — wydrukujemy. Pisz więcej.

Zenia Fijałkowska — Warszawa.

Lamiłówkę wydrukujemy. Prosimy o wersyki i powiastki. Jeśli będą dobre — wydrukujemy.

A. Chojnacka — Gdynia.

Wiersz dobry. Wydrukujemy. Pisz do nas częściej.

Oleńce Biernackiej z Torunia. — Dziękujemy Ci za Twój miły list. Po Nowym Roku znów znajdziesz konkurs w „Świecie Dzieci“.

Danusia Przesmycka z Białobrzegów. — Bardzo nas to cieszy. Danusiu, że lubisz czytać książki. Ale dużo jest dzieci, które lubią czytać książki, a redakcja nie może mieć książek dla wszystkich. Nagroda w postaci książki będzie rozlosowana pomiędzy dzieci, które dobrze rozwiązały konkurs. Czy uczysz się rysować? Bajki ślicznie zilustrowałaś.

Krysia Mościcka z Siedlec. — Redakcja odpisuje Ci na list, jak prosiłaś. Pozdrawiamy Cię serdecznie. Napisz, jakie wiersze i opowiadania w „Świecie Dzieci“ podobały Ci się najbardziej.

Bogusław Wiśniewski z Międzyrzecza. — Gwiazdka była pomyślana dla dzieci z Warszawy, nie z prowincji!

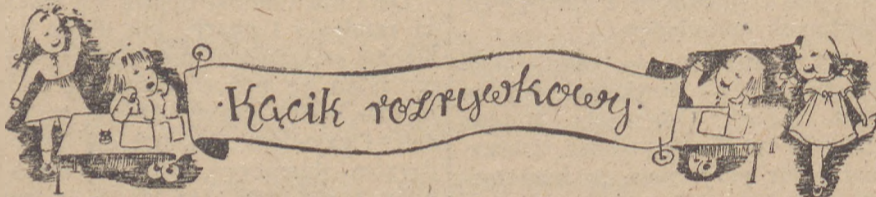


**LISTY NADESLANE**

Zdzisław Ehrman z Milanówka; Lusja Czaplarska z Grodziska Maz.; Henryk Brzozowski z Łodzi; Danuta Markowska z Pastowa; Danuta Olkowska z W-wy; Basia Gierak z W-wy; Krystyna Grochalska z W-wy; Jadwiga Grocholak z W-wy; Janina Borejówna z Czernina; Bogusław Wiśniewski z Międzyrzecza; Bogdan Golanowski z Piotrkowa; Jerzy Mazurant z Piotrkowa.

**ODPOWIEDZI NA KONKURS NADESLALI:**

Oleńka Biernacka z Torunia, Waldek Erman z Milanówka, Basia Puszkiniówna z Warszawy, Włodzimierz Więckowski z Warszawy, Irena Boczań z Łodzi, Zbigniew Czerwiński z Łodzi, Jędrus Marasek z Warszawy, Irena Kondratówna z Bielska, Krystyna Karency z Warszawy, Michał Jeziorski z Ostrzeszowa, Julian Helszer z Warszawy, Jacek Dymowski



**ZADANIE**

Janek miał świeczki. Gdyby palił je we wszystkich lichtarzach, zawieszonych na choince starczyłyby mu na 2 razy. Gdyby zaś zdjął 4 lichtarze, starczyłoby świeczek na 3 razy. Ile miał świeczek i ile lichtarzy?

**SZARADA**

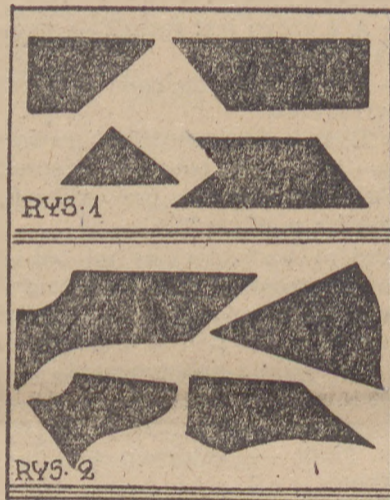
Pierwsza—trzecia rano z mlekiem Smaczna na śniadanie.  
Pierwsza—druga za człowiekiem idzie w ślad przez cały świat.  
za złe postępowanie.  
Druga — czwarta często sroga, gdy zadana z ręki wroga.  
Kiedy druga z trzecią chodzi, tworzą miasto obok Łodzi.  
Całość przez pustyni obszary ludzi przewozi i towary.

**ZAGADKA**

Odgadnijcie młodzi, co za potwór żyje? Niema nóg, a chodzi, niema rąk a bije.

**UKŁADANKA**

Ułożyć z podanych figur młotek i but.



**ZAGADKA**

Co się stanie z gapą kiedy skończy 8 lat.

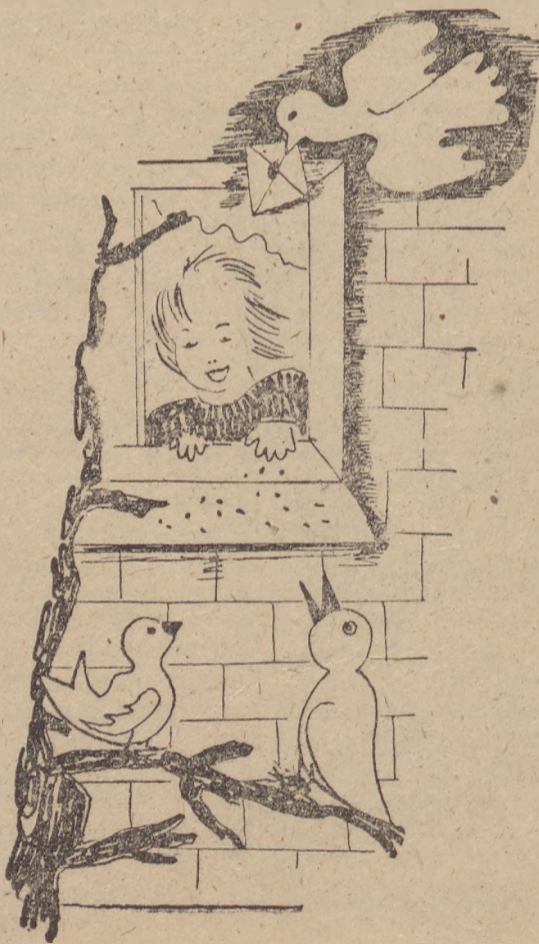
Nadesłała Halina Pawłowska

z Wołomina, Elżunia Parkowska z Warszawy, Waldemar Śmieszek z Ostrowia, Krystyna Jagodzińska z Warszawy, Madzia Wiejowska z Wrocławia, Marysia Tarczyńska z Warszawy, Wiesław Szadkowski z Warszawy, Janusz Kurczab z Warszawy, Alicja Korzeniewska z Warszawy, Danuta Markowska z Piastowa, Barbara Karasiówna z Warszawy, Joanna Kowalczyk z Warszawy, Ryszard Waratowicz z Warszawy, Jerzy Wasiak z Warszawy, Bogdan Szymański z Warszawy, Teresa Szymańska z Warszawy, Bogdan Maciejewski z Warszawy, Andrzej Puchała z Warszawy, Marysia Sikorska ze Skolimowa, Cezary Kurzela z Teresina, Halinka Tomasiuk z Sanników, Teresa Lubkiewicz z Kistek, Leszek Caban z Sochaczewa, Witold Jarzombek z Gliwic, Krystyna Bukala z Warszawy, Barbara Szadkowska z Warszawy, Halina Jarzabkowska z Lublina, Włodzimierz Piackowski z Warszawy, Jadwiga Konopacka z Łowicza, Hanna Jasłowska z Warszawy, Bożenka Szymańska z Warszawy, Anna Lewicka z Wołomina, Irena Borejówna z Czernina, Henryk Grynczel z Sokółki, Jadwiga Woźniak z Ligoty, Danuta Kaldowska z Gdyni, Lidia Buczek z Warszawy, Adelajda Zółtowska z Warszawy, Zofia Kurkowska z Warszawy, Hania Zdradowska z Warszawy, Alfreda Sternik z Pultuska, Daniel Perzyko z Warszawy, Bogdan Darmas z Radomia, Roman Boguszewski z Boernerowa, Irena Kałmierczyk z Warszawy, Mietek Sitariski z Warszawy, Stefan Bienias z Warszawy, Wanda Rolnik z Kleczewa, Apollonia Łukaszewska z Bydgoszczy, Teresa Przytułska z Warszawy, Jolanta Braun z Nowego Dworu, Barbara Fijałkowska z Chelma, Krystyna Szypuła z Warszawy, Kazimierz Białkowski z Warszawy, Danuta Kajdel z Warszawy, Jerzy Kruczkowski z Łodzi, Halina Bednarek z Ursusa, Jacek Kleniewski z Mławy, Józef Tomaszewski z Wiskitek, Alfred Prymusiewicz z Warszawy, Klarunia Obarska z Warszawy, Krystyna Opolska z Warszawy, Zbigniew Olszewski z Warszawy, Wanda Gawrychowska z Warszawy, Marcin Adamski z Piotrkowa, Wanda Gdulewska z Warszawy, Kuciński Leon z Warszawy, Basia Blicharczyk z Warszawy, Roman Mrozek z Zamostka, Eugeniusz Taras z Michałowic, Halina Pawłowska z Łowicza, Barbara Jaworska z Warszawy, Jadwiga Trześniewska z Warszawy, Zbigniew Borkowski z Warszawy, Basia Jankowska z Włocławka, Elżbieta Soszyńska z Tuszcza, Elżbieta Bartoszevska z Nowego Dworu Mazowieckiego, Janusz Bandurski z Warszawy, Stanisława Szpalik z Warszawy, Szymon Kowalski z Wycinek, Barbara Loegler z Wawra, Edmund Zakowski z Warszawy.

**JANINA HANKISZÓWNA**

**LIST OD PTAKÓW**

— Jak się macie, kumie wrono, cóż tam słyszeć u jejności? Jakoś marnie wyglądacie, same pióra, no i kości.  
— I twój wygląd świadczy, wróblu, żeś wiółł żywot nie bogaty, też z waszeci pozostały przecież tyłko same gnaty.  
— Cóż dziwnego? przyszły na nas ciężkie czasy, wrono droga, nigdzie nie ma pożywienia, a tu zima taka sroga! Przeminięły dni szczęśliwe, kiedy ptak miał pełen brzusek, gdy do syta się najadał smacznych ziarenek, tłustych muszek; teraz za to pościć trzeba, że aż kieszki piszczą z głodu, nie wyszukasz pożywienia — szkoda trudu i zachodu.  
— Wszystkie ptaki o tym mówią i nadzieję się nie mogą, czemu ludzie, mając wszystko, nie nam ptakom nie pomogą?  
— Między wróblim towarzysstwem taka właśnie wersja chodzi, że podobno i ludziskom teraz marnie się powodzi...



— Może to i prawda, wróblu, lecz nam tak niewiele trzeba: jakich resztek od obiadu i okruszyn trochę chleba.  
— Właśnie przyszedł mi do głowy pewien sposób, bardzo łatwy, aby zwołać ptasią sesję i napisać list do działwy. Opiszemy w nim niedolę wygłodniałej, ptasiej rzeszy, wówczas, kto ma dobre serce, ten z pomocą nam pośpieszy.

Właśnie nadeszł list od ptaków, który tu Redakcja głosi: „Wygłodniała ptasia rzesza o ratunek dzieci prosi. Więc nie niszczenie i nie palenie żadnych resztek, ni okruszków, lecz wytrwałe je zbieranie dla zgłodniałych naszych brzuszków. Przy pomocy waszej chętniej głód nam nie da się we znaki, my wam za to całym sercem Dziękujemy —

wdzięczne Ptaki.